

**(NIE)ZWYKŁE
HEHESZKI**

Konkurs literacki dla młodzieży



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Narodowego Centrum Kultury: Kultura – Interwencje. Edycja 2023

The best of
(NIE)ZWYKŁE HEHESZKI

Antologia tekstów laureatek konkursu literackiego

WSTĘP

Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum zaproponował młodzieży w wieku 13-20 lat z województwa śląskiego udział w konkursie literackim pod nazwą (NIE)ZWYKŁE HEHESZKI na piosenkę, esej/felieton, scenę kabaretową oraz monolog/stand-up.

Celem szerzej zakrojonego projektu było sprowokowanie młodzieży do uważnego spojrzenia na naszą codzienność i przejawiające się w niej absurdy oraz stworzenie przestrzeni do humorystycznej wypowiedzi na temat: *Co cię irytuje lub śmieszy w otaczającej rzeczywistości?*

Organizatorowi konkursu zależało, by młodzi ludzie spróbowali pokazać satyrę jako cenne narzędzie zmiany świata oraz aby za pomocą środków artystycznych zmanifestowali swoje zdanie i swoją odrębność.

Jury zwróciło uwagę na to, że jednym z ważniejszych kryteriów oceny prac było poczucie humoru i że nadesłane teksty satyryczne powinny bawić odbiorcę. W znacznej części prac tego zabrakło. Równocześnie jurorzy docenili szczerłość autorów i dużą otwartość, z jaką dzielili się swoimi refleksjami. Dodajmy, że sporym powodzeniem cieszyła się wśród uczestników niełatwa, ale bardzo ostatnio popularna forma stand-upu.

W konkursie wzięło udział 25 osób. Jury w składzie:

Anna Andraka

Katarzyna Prudło

Wojciech Brzoska

po zapoznaniu się z nadesłanymi pracami postanowiło przyznać 4 równorzędne nagrody za zajęcie I miejsca, 2 równorzędne nagrody dla laureatek II miejsca oraz 4 równorzędne wyróżnienia. Autorki prac, które prezentujemy w niniejszej antologii otrzymały nagrody finansowe oraz pamiątkowe dyplomy.

Wszystkim uczestnikom bardzo dziękujemy, a nagrodzonym i wyróżnionym serdecznie gratulujemy.

Absurdalność daje się wyrazić tylko za pomocą humoru.
(Alfred Hitchcock)

I NAGRODA

Gabriela Krawczyk, III Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Batorego w Chorzowie – za stand-up *Autobusowy gang*,

Karolina Krawczyszyn, Akademickie Liceum Ogólnokształcące Politechniki Śląskiej w Gliwicach – za esej/felieton *Jałowiec i sosna zwyczajna, czyli co przyszły lekarz musi wiedzieć*,

Katarzyna Leks, II Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Marii Konopnickiej w Katowicach – za stand-up *Oda do kofeiny*,

Antonina Steininger, Szkoła Podstawowa nr 30 w Zabrze – za esej/felieton *Zwykły poranek biegacza*.

Gabriela Krawczyk

AUTOBUSOWY GANG

Jeżdżę autobusem, wiecie, normalna podróż do domu, ale jeżeli myślicie, że nie czuję się wtedy jak czynny uczestnik amerykańskiego filmu o gangsterach, to nic bardziej mylnego. Ja jestem zaprawiona w bojach, wiem co może mnie czekać i staram się być przygotowana na każdą możliwą sytuację. Dlatego podstawowa zasada: nie patrz na kierowcę, jak spojrzysz, to możesz się przestraszyć, że niekoniecznie zawiezie cię w dobrą stronę. Ale wracając, zauważyłam, że odkąd dodali do mojej linii nowy przystanek, to w autobusie zaczęła panować atmosfera grozy i przerażenia. Mówię wam, ten jeden chłopak, co zawsze siedział na samym przodzie, normalnie kapitan statku (myślę, że znał drogę lepiej niż kierowca), teraz zawsze stoi pod samym drzwiami. Już nieraz nimi dostał, ale to, z jaką pasją ćwiczy kciuki, grając w Brawl Stars, sprawia wrażenie, że myślę, że w ogóle tego nie poczuł. Nawet jeśli, to zapewne uznał to za jakieś nowe, bardziej rzeczywiste uaktualnienie w grze. Ta jedna pani z wiecznie drącym się dzieckiem teraz nosi smoczek. Swoją drogą nie wiem, jak to możliwe, że tej małej, wyjącej głośniejszej niż piętnaście wozów strażackich istocie jeszcze nie skończyły się rzeczy, o które może płakać. Autentycznie od nagłego pragnienia obejrzenia bajki po nienawiść do ziemniaków. Młody awanturował się już o wszystko. Do czasu... Teraz w autobusie cisza jest niemal grobowa. Nie mówię, że to jakaś tragedia, lubię ciszę. Jednak czasami wołałabym nie słyszeć, jak typ na drugim końcu pociąga nosem albo kobieta krzyczy na męża o to, że wczoraj nie załadował zmywarki. Gdybym chciała słuchać o takich dylematach, to włączyłabym sobie pasjonujący odcinek któregoś z ulubionych paradokumentów mojej mamy. Gwarantuję wam, tam to

dopiero są emocje. Mam nadzieję, że nie spóźnię się na dzisiejszych odcinek, bo już dzisiaj dowiemy się, czy Elwira wybierze Zbycha czy Krzysia. Tego nie można przegapić.

Jednak teraz kontynuujmy... Autobus jedzie w miarę spokojnie. Nie widać nadzwyczajnego zagrożenia, wszyscy pasażerowie są względnie zrelaksowani. I nagle to:

„Następny przystanek: kościół”.

Jak już słyszę to w głośniku, to wiem, zaczyna się. Kto może, zaczyna uciekać. Kto nie, ten już dawno pogodził się z porażką na polu bitwy (ja należę z zasady do tych drugich). Jeszcze chwila spokoju, a potem się dzieje. Wchodzą. Jedna, druga, trzecia, nikt nie wie, ile ich jest, bo zazwyczaj to cały lokalny klub seniora. Outfit? Klasyka gatunku. Buty najczęściej z lokalnego targu, stylowe materiałowe baleriny, oczywiście zapinane na rzep, te są najbardziej w modzie. Co do reszty, zdarzają się różne warianty, ale zdążyłam zaobserwować, że popularny trend to spódnica w okolicach kostek, najlepiej kwiecista. Do tego stylowa bluzeczka i oto jest. Postrach wszystkich pasażerów. Mówimy na nie babcie, ale uważajcie, nie wmawiajcie tego za głośno. To cały gang, ostrzegam, są groźne. Nieraz ktoś oberwał torebką, zawsze noszą te z metalowym fragmentem, by móc zaatakować.

Na początku generalnie jest spokojnie, większość ludzi jest bardzo dobrze wychowana i każdy ustępuje miejsca, ale spróbujcie postąpić inaczej... Pierwszy tekst to coś w stylu typowej regułki: „przepraszam, ale proszę ustąpić mi miejsca, jestem osobą starszą, mi się to należy”. Jak wtedy nie odpuścisz, oj, no było paru takich herosów, biedaki. W ich przypadku walka zaczyna się robić dramatyczna. Po dyplomatycznych uwagach nasze terrorystki w kwiecie wieku często przechodzą do mniej pacyfistycznych czynów. Atak rozpoczyna się od uszczypliwych docinków. Raz nawet słyszałam, że młodzieniec został odesłany do egzorcysty, ponieważ szatan i inne nadprzyrodzone instynkty zawładnęły jego duszą. Takie diagnozy to nie przelewki, miejcie to zawsze na uwadze. Oczywiście zdarzają się kontuzje, ale myślę, że nie starczyłoby nam czasu, by szczególnie się nad nimi rozwodzić.

Wniosek jaki więc za tym idzie: nie podejmujcie się walki, bo nigdy nie wygracie. Nie macie lasek ani kilku solidnych dekad doświadczenia w takich akcjach, więc nie porywajcie się z motyką na słońce. Nieraz miałam sen, że to ja padłam ich ofiarą. Z całego serca gwarantuję wam, że nawet dzień, w którym idziecie poprosić szefa o wolne nie wywołuje takiego stresu jak moje codzienne autobusowe eskapady... Jednak nie pocieszę was. Cóż za zaskoczenie. Jak wyjdziecie z autobusu, to wcale nie będzie łatwiej. Tylko że to już historia na inną okazję...

Karolina Krawczyszyn

JAŁOWIEC I SOSNA ZWYCZAJNA, CZYLI CO PRZYSZŁY LEKARZ MUSI WIEDZIEĆ

Kiedyś byłem obrońcą pantofelków. Potrafiłem stanąć i stoczyć ciężki bój z osobą, która jako argument przeciwko systemowi edukacji wznosiła: „Po co mi znać cykl rozwojowy pantofelka?”. Ja rozumiem oceny numeryczne, lekcje ciągnące się dłużej niż opisy przyrody w „Nad Niemnem”, brak czasu na pasje, wmawianie uczniom, że są beznadziejni, szkolnołazienkowe mydło, którego albo nie ma, albo zakłada własną cywilizację... Ale co wam przeszkadza w pantofelkach?! Czułem, że atakują oni mój ulubiony przedmiot. W końcu pantofelki, mech płonnik i siódmoklasiści ryczący ze śmiechu to wręcz symbole lekcji biologii.

Aż nagle sam zadałem sobie pewne pytanie. Jedno małe pytanie, które zmieniło wszystko.

Po jakiego iglaka przyszły lekarz musi znać cykl rozwojowy sosny zwyczajnej?

Oczywiście warto wiedzieć, jak pomóc człowiekowi, na którego sosna zwyczajna upadła, ale czy aby na pewno muszę wiedzieć, że nim ośmieliła się to zrobić zdążyła jeszcze zostać jako ziarno pyłku przeniesiona na okienko zalążka, stać się zygotą, potem zaś nasionkiem, pozwoliła łuskom nasiennym sformułować się w szyszkę, przeczekała w stanie spoczynku, została wysiana przez wiatr i w sprzyjających warunkach wykiełkowała jako sporofit?

Wtedy zacząłem myśleć sobie, że chyba mają rację ci najbardziej radykalni szkolni antysystemowcy, którzy mówią, że zamiast matury powinny być egzaminy wstępne robione pod konkretny kierunek. Tak, ja też nie byłem do tego pierwotnie przekonany! Czy wtedy będzie się trudniej dostać? Co, jeśli wyskoczą z jakimś odjechanym pytaniem? Ale powiem wam jedno słowo: jałowiec. Brzmi niewinnie, wygląda niewinnie. Ot, taki krzaczek. Tylko że niedoszli studenci medycyny jednego z całkiem niedawnych roczników wiedzą, jak ta zielona kupka igiełek potrafi napsuć krwi.

Nikt ci nie powie, że musisz do matury umieć zagadnienia z podstawówki, wśród których znajdziesz: „Uczeń potrafi rozpoznać jałowiec” ukryte jako rozpoznawanie gatunków roślin nagonasiennych w Polsce czy coś takiego. Nikt ci nie powie, że nie napisali tego w wymaganiach do matury, bo po co? Przecież już raz napisali, w wymaganiach do podstawówki, nie będą się powtarzać...

Sprawa z jałowcem tak mnie zestresowała, że w ogrodzie botanicznym spędziłem pięć godzin, siedząc i gapiąc się na tego iglaka wzrokiem początkującego telekinetyka. Potem jak tylko usłyszałem, że ktoś ze znajomych wybiera się na medycynę, farmację, fizjoterapię czy inną weterynarię, chodziłem im po domach, pytając się: „Czy chcesz porozmawiać o jałowcu?”.

Parę razy pomyliłem adres i obcy ludzie pomyśleli, że to jakaś sekta. Nowo wymyślony Team Krzakarnia zrzeszający fanatyków botaniki.

Do tej pory nie wymyśliłem, gdzie przydałaby mi się wiedza, że rośliny dwuliścienne mają na liściach użyłkowanie siateczkowe, a rośliny jednoliścienne użyłkowanie podłużne. Albo że o ile większość protistów oddycha tlenowo, to te wybrane gatunki beztlenowe dosłownie fermentują. Prawie jak stary sok jabłkowy, zostawiony w plecaku przez wakacje i zmieniający się w tym czasie we wczasy all inclusive dla bakterii.

Jednak niektóre informacje, których trzeba się nauczyć do matury nie są aż tak nieżyłowe.

Pewnego wieczoru siedziałem przed komputerem i słuchałem sobie powtórkowych lekcji biologii w formie filmików na YouTube. Padło w którymś momencie stwierdzenie, że niewysokie rośliny zielne nie mają wykształconych tkanek wzmacniających właśnie z uwagi na osiągnięte przez nie rozmiary, sporo mniejsze od takich na przykład drzew. Do utrzymania się w pionie wystarczy im, że ich komórki mają turgor, czyli są odpowiednio wypełnione wodą.

Powoli obróciłem się i spojrzałem na plantację szczypiorku hodowanego na parapecie do olimpiady. Pędy zwisały tak bardzo, że niemal szorowały po podłodze. A ja po prostu usłyszałem, że szczypiorek lubi umiarkowane nawodnienie i bałem się, że go przeleję.

W moim przypadku przynajmniej mogę się poskarżyć na tematy o protistach albo tych nieszczęsnych roślinach. Trudno mi zaś wyobrazić sobie kogoś zainteresowanego studiowaniem botaniki, narzekającego, że nie wie, po co miałaby mu być w życiu wiedza o wirusach i szczepionkach. Jeśli jeszcze raz ktoś zje nietoperza...

Założę się, że większość tych informacji zapomnę tuż po zdaniu matury. Naprawdę nie sędzę, że mój mózg z bliżej nieokreślonego powodu zachowa sobie informację, że wielkomorszcz gruszkonośny tylko wygląda na roślinę, a tak naprawdę jest po prostu wielgaśnym protistem roślinopodobnym. Ewentualnie zostaną w mojej pamięci określenia, takie jak: nibynóżki, owocolistki czy pragęba, brzmiąca tym śmieszniej, gdy właśnie przeczytało się „Ferdydurke”.

Zrozumiałem jednak, że w gruncie rzeczy nie chodzi o to, że pod żadnym pozorem nie wolno mi zapomnieć, że protisty zwierzęce z rodzaju *Didinium* tylko czekają, by napaść jakiegoś pantofelka. Ilość materiału, jaką każą mi przyswoić w liceum ma mnie przygotować do kilkanaście lub kilkadziesiąt razy większej ilości materiału, jaką w związku z wybraną przeze mnie ścieżką nauki będę musiał przyswoić na medycynie. Ktoś kiedyś powiedział, że gdy każesz studentowi medycyny nauczyć się książki telefonicznej na pamięć, nie zapyta on: „Po co?”, tylko: „Na kiedy?”. Będąc w liceum, mam wkuwać i nie zadawać zbędnych pytań. Egzaminatorzy tylko chcą, bym nauczył się uczyć.

I nikogo nie obchodzi, że nie interesują mnie korzenie czepne.

Katarzyna Leks

ODA DO KOFEINY

Gdy tylko budzik ogłasza godzinę 6.00, mój człowiek niechlujnym ruchem wyłącza brzęczące ustrojstwo, następnie chwiejnym krokiem udaje się do kuchni. Jestem pierwszym przedmiotem, po który mój człowiek sięga. Utrzymuje mnie z uwagą w delikatnych dłoniach, wciąż zanurzonych w sennym świetle. Rozpoczyna dzień skromnym espresso przygotowanym z najwyższej klasy kolumbijskich ziaren, rekompensując w ten sposób niewystarczającą ilość snu. Dziś pomija nawet śniadanie.

Udaje się na balkon, gdzie gorzki smak kawy spotyka się z dymem papierosowym. Ja natomiast witam się serdecznie z moją starą przyjaciółką – zapalniczką o sentymentalnej wartości, wciąż na nowo napełnianą gazem. Podczas tej uroczej balkonowej tradycji mamy chwilę, aby wspólnie kontemplować nasze powołanie. Już dawno doszliśmy do wniosku, że wszystkie inne rzeczy w życiu naszego człowieka – czy to zdobiona ceramika już dawno pokryta kurzem, niehonorowana nawet połową marnego spojrzenia od wielu lat, czy papierki przesuwające się po biurku podczas pracy mężczyzny, czy ludzie wchodzący i wychodzący z jego życia jak przez obrotowe drzwi – wszyscy oni nie różnią się wiele od papierosów w kolejnych paczkach naszego człowieka. Ich czas nadchodzi, wtedy też pojawiają się na chwilę, spełniają swoją funkcję, lecz szybko się wypalają i znikają na zawsze. Przedmioty i ludzie wciąż na nowo pozostawiają naszego człowieka w stanie względnej samotności. Ach, w tym zamyśleniu muszę przyznać, że jest ze mnie trochę filozof, „vanitas vanitatis”.

Kiedy mój człowiek udaje się do pracy, pakuje mnie starannie do nesesera, dbając aby nic mi się nie stało. Gdy tylko przekracza próg żółto-szarego biura, nie zważa ani na witających go towarzyszy, ani na wołające z przydzielonego mu stanowiska obowiązki. Udaje się jak zahipnotyzowany do mojego ołtarza (niewielkiego stolika z ekspresem, kostkami cukru i „donośną” kartką napisaną odręcznie bardzo dawno temu – PROSIMY PRZY NOSIĆ WŁASNE KUBKI!!!). Tam przyrządza, po raz drugi dzisiaj, swój ulubiony napój. Tym razem gardzi marnym espresso. Napełnia mnie po brzegi aromatycznym americano, dorzuca jedną, zawsze jedną i tylko jedną kostkę cukru (trzeba przecież dbać o zdrowie, a cukier uzależnia!), w końcu niechętnie człapie w stronę stanowiska.

Z każdym łykiem czuje zbawcze działanie napoju. Zagłębia się na chwilę w roztargnione kłębki myśli, rozważając głęboko pradawne filozoficzne pytanie – czy byłby w stanie przeżyć na bezludnej wyspie? Naiwność mojego człowieka czasem doprawdy mnie rozczula. Beze mnie nie przetrwa dnia – ostatni przypadek, kiedy zdarzyło mu się o mnie zapomnieć nastąpił wiele lat temu. Niczym sługa pozbawiony instrukcji miotał się wtedy rozkojarzony z pokoju do

pokoju, od zadania do zadania, nie będąc w stanie wykrzesać z siebie ani jednej sensownej myśli. Krążył nieobecny między błahymi i ważnymi sprawami, nie radząc sobie z żadną z nich, a jego myśli wracały wciąż do mnie. Na sam jego widok wszyscy wokół marnieli jak fusy zbyt długo pozostawione na dnie świętej czary. Gdy biedny, blady, zirytowany nieboszczyk na skraju omdlenia powrócił do domu, ucałował mnie czule i wypełnił ukochaną substancją, przyrzekając sobie, że nigdy już nie pozwoli, aby poranne roztargnienie tak tragicznie nas rozłączyło.

Mój człowiek siada wreszcie przy biurku. Wraz z każdym zapchanym przez kofeinę receptorem czuje kolejne fale energii i motywacji. Przestają mieć znaczenie poranne, wciąż sensne rozważania na temat jego miejsca we wszechświecie. (Mój drogi człowiecze, co ty w ogóle robisz ze swoim życiem? Rozważania zostaw mnichom. Na zdrowie, smacznej kawusi!).

Po kilku łykach mój człowiek nie potrzebuje już sensu – po co to komu, to błahostka. Na zdrowie. Podnosi mnie więc energicznie po raz kolejny i kolejny, aż dociera do dna. Jego ciśnienie podniosło się, zmysły wyostrzyły – mężczyzna jest gotowy do pracy. Na zdrowie!

Po jego biurku ślizgają się papierki – podanie z prośbą o przemalowanie biura, skarga na panią ze stanowiska trzydziestego, faktura za zaopatrzenie lodówki biurowej, skarga na pana ze stanowiska dwudziestego dziewiątego. Stemple, pieczętki i mazaki suną zrećnie po blacie, a kolejne klawisze na klawiaturze uginają się pod jego pobudzonymi stuknięciami. Żaden ze świstków, dokumentów, listów czy podań nie wraca już nigdy w ręce mojego człowieka. Czasem wydaje je w świat poprzez skrzynkę pocztową czy swoich współpracowników. Zazwyczaj lądują jednak w koszu lub niszczarce, dokładnie tam, gdzie ich miejsce. „Papieros vanitatis”. Ja w tym czasie wyleguję się na moim własnym tronie, ozdobnym podstawniku przygotowanym dla mnie i tylko dla mnie. Ogrzewają mnie tam smugi światła nieśmiało padające z zasłoniętego okna. Mój majestat podziwiają współpracownicy i przypominają sobie nagle powód swojego kiepskiego humoru, po czym szybkim krokiem udają się do ołtarza.

Po wielu godzinach ciężkiej batalii ze smokiem maszyny biurokratycznej, uzbrojony w preferowaną substancję psychoaktywną, mój człowiek powraca do domu. Triumf przekroczenia progu jest godny afgańskiego weterana. Mój człowiek codziennie, wychodząc o świcie, zastanawia się, czy uda mu się przetrwać kolejny dzień uczciwej pracy. Uczciwie pracując, zastanawia się, ile jeszcze pociągnie. Powrót do domu to mój czas – niecierpliwie wyczekuję, aż weźmie mnie w swoje ręce, abym mógł honorowo spełnić moją rolę. Ja, zbroja, tarcza i miecz wszystkich urzędników, księgowych, nauczycieli i innych form nieautonomicznych. Ja, zbawiciel filozofów! Albert Camus każdego poranka rzekomo rozważał, co wybrać - mego kubkowego brata, naczynie połączone, czy też sznur wisielczy. Moja forma wciąż zwyciężała.

Lecz cóż to? Co tu się wyprawia? Nie, nie, nie. Jakaś pomyłka, nieporozumienie! Mój człowiek otwiera barek, wyciąga błyszczącą szklanke i butelkę whiskey.

Antonina Steininger

ZWYKŁY PORANEK BIEGACZA

Dlaczego niektórzy, narzekając, mówią, że żyją w ciągłym biegu? Takie życie byłoby fascynujące, a jaki jest los przeciętnego biegacza? Ile czeka go niespodzianek i drobnych przeszkód? Wyobraźmy sobie zwykły poranek biegacza... Mój poranek.

Wybiła godzina piąta. Szybko wyłączam budzik zanim obudzi resztę domu. Wstajemy. Muszę zdążyć przed ósmą, by jeszcze ogarnąć się do szkoły. Zakładamy ciuchy i podłączamy słuchawki. Włączamy audycję Jurka Owsiaaka jeszcze z czasów pandemii. Teraz po cichutku do łazienki, tak żeby pies się nie poruszył. Ostrożnie zamykam drzwi, by mama nie usłyszała. Dobra, zęby umyte – szlag! Pies wstał i zaczął iść w stronę pokoju mamy. Uciekamy do siebie. Co złego, to nie ja. Rozciągniemy się i ruszamy. Wymach jeden, drugi. Uda, kolana, kostki, dwa przysiady iiii koniec. Klucze – są, telefon z włączoną lokalizacją – jest, chusteczka – jest, słuchawki w uszach... okej! Wychodzimy. O nie! zza ściany wyłania się zaspany ojciec. – Przeginasz Tośka, przeginasz. – Przekręciłam zamek i powiedziałam, że wrócę szybko. Teraz biegiem na przystanek. Mam dwie godziny do matematyki, sześć minut na autobus, jedną godzinę na bieg i powrót do domu. Zaraz zamarnę – znów włożyłam krótkie spodenki przy czternastu stopniach. Na przyszły raz włożę długie (oczywiście, że nie). Zdążyłam! Autobus 81 podjechał. Przynajmniej w nim było trochę ciepłej. Żeby tylko nikogo nie spotkać... Ludzie gapiący się na mnie jak na wariatkę po kolei wysiadają. O! pora na mnie. Wsiadam. Ustawiam aplikację i biegniemy. Pierwszy kilometr, drugi, trzeci, pierwszy – co? Kiedy koniec? Mam dość, ale nie poddam się. Pot zalewający mi oczy, katar, o nie! Czy właśnie wpadł mi do buta mały kamyczek? Tylko nie to... Dobra, szukamy naszego dziadka o kijkach – zawsze się z nim mijam. Nie widzę, nie widzę... O jest! Wyłania się zza krzaków. A już myślałam, że to buszujące dziki. Mój szeroki uśmiech nie schodzi z twarzy, póki każde z nas nie polecą w swoją stronę. Niech to! teraz najgorsza część biegu. Droga się zwięża i zamiast asfaltu czuję wilgotną trawę. Po trzech metrach mam powódź w butach. Ale wciąż biegniemy. Auć! POKRZYWA! Powoli zaczyna mnie piec łydka, gdy niepostrzeżenie dostaję ogromniastymi chaszczami po twarzy. No teraz jesteśmy już cali mokrzy, ale walczymy dalej. Dobra, asfalt, droga, przestrzeń – wreszcie! Ale nie... nie wierzę! czy właśnie wkroczyłam na pole minowe ślimaków?! Ostrożnie slalomem omijam je tak, by żaden nie ucierpiał. A to jeszcze nic

w porównaniu z leśną alejką spacerową, gdzie tłumnie przybywają właściciele psów ze swymi pupilami. Wtedy mam bieg z przeszkodami. To dopiero wyzwanie. Oooo! czyżbym widziała nową biegaczkę? Tak! Ale ona szybka – też bym tak chciała. Co? Macha mi! Jaki zaszczyt! Odmachiwanie sobie wzajemnie jest takie miłe. Wiesz, że nie tylko ty wstajesz wcześniej i katujesz się, żeby później nie mieć kompletnie siły przez cały dzień, ale czerpiesz z tego ogromną satysfakcję. Dobra, szósty kilometr – więcej niż połowa. W czasie biegu tyle myśli przychodzi do głowy – Czy mama dzisiaj pracuje do późna? Ile bym szła pieszo do Gdańska? Co na obiad? Biologia jest na szóstej czy ósmej lekcji? I w której sali? Ciekawe, czy dziadek pojechał na grzyby? Ze słuchawek dobiega głos Jurka czytającego komentarze o kwarantannach i pozamykanych szkołach. Boże jedyny! co się wtedy działo... Chociaż, czy teraz jest lepiej? Wojna na Ukrainie, wiecznie skłócona polityka, coraz większe problemy klimatyczne, mnożąca się nienawiść i brak szacunku do drugiego człowieka... Już dziewiąty kilometr za mną, jeszcze jeden dam radę. Pięćdziesiąt metrów, czterdzieści, dwadzieścia iiii jest! Udało się! teraz tylko na autobus trzeba jakoś dojść. To ten czas, gdy mama powinna jechać do pracy. Może zaraz wyłoni się na rondzie naszą zieloną Dacią Duster. Wkroczyłam w zarośnięty teren, ale nie poddaję się – rozglądam się dalej... Nie wierzę! Jest! Jedzie i macha mi tak, że całe auto się trzęsie... ech... pojechała. Jak zombiak powoli trafiłam na przystanek – na szczęście miałam blisko. O nie! dlaczego słyszę piosenkę Chylińskiej?! Wyłączam, bo nie zdzierzę. Wysiadka – do domu marsz. Idę szybko chodnikiem, trochę ciemno, tylko jeden facet z psem mnie omija. Moje nogi odpadają, ale byle do domu. Doczołgałam się do drzwi. Szybki prysznic i herbata. O nie! dlaczego czajnik śmierdzi spalenizną?! Gdzie są moje czarne dzinsy!? I jeszcze domofon dał znać, że tata z psem wrócili ze spaceru! Wszystko naraz, a za piętnaście minut muszę być w szkole. – Zrób mi proszę kawę! – usłyszałam z drugiego końca mieszkania. Dobra, spokojnie, już działamy, w końcu jest dopiero siódma czterdzieści pięć i cały dzień przede mną...

II NAGRODA

Wiktoria Karzelek, Zespół Szkolno-Przedszkolny w Rudziczce –
za esej/felieton *** (*Zamknijcie oczy...*),

Michalina Rok, Zespół Szkół nr 2 im. Hugona Kołłątaja w Myszkowie –
za stand-up *Moje małe absurdy*.

Wiktoria Karzelek

* * *

Zamknijcie oczy i pomyślcie, ile razy w ciągu swojego nastoletniego życia słyszeliście bardzo potrzebne, przepelnione życiową mądrością, nieskalane oszczerstwem słowa:

„W dawnych czasach nie było telefonów i zmywarki i jakoś się żyło”.

Jest to zdecydowanie mój ulubiony cytat. Po nim następują kolejne wersy litanii do świętego zlewu:

„W starych czasach musieliśmy myć samemu, nie było jakichś zmywarek. Wszystko trzeba było dokładnie opłukać i do sucha powycierać, a jak nie powycierałeś, to tak oberwałeś, że ho, ho...”.

No cóż, dobrze, że metody wychowawcze współczesnych rodziców pozwalają młodemu człowiekowi w pełni rozwinąć jego potencjał intelektualny. Ale to wcale a wcale nie koniec:

„Dawniej to w ogóle nie było pralek, samemu trzeba prać”.

Naprawdę? Za czasów króla Piasta, mamó?

„Teraz to masz luksus, czemu nawet prania nie umiesz rozwiesić?”.

Nie umim, ale za to językiem polskim poprawnie i biegle posługuję się.

„A rączek nie masz, żeby coś rozwiesić lub coś zrobić? Twoja siostra...”.

O tak, twoja siostra. Moja siostra – perfekcyjna pani domu. Perfekcyjnie zrzuca na mnie swoje obowiązki. Zwłaszcza, kiedy przychodzi do nas młodsze kuzynostwo. Co moja perfekcyjna wtedy mówi? „O słodziaki, kochani jesteście, ja nie mam czasu, mam WAŻNE zajęcie, ale Wikusia pobawi się z Wami”. Jasne, Wikusia się pobawi, Wikusia posprząta, Wikusia zrobi.

Apogeum nieszczęść zawsze osiąga przy wigilijnym stole. Wtedy zmywarka wzywa, pralka atakuje, rączki w ruchu, bawić się, bawić, pomieć mleko, wypatrosz mak, karpia daj do kutii, Wikusia, Wikusia, Wikusia, pamiętaj, że w dawnych czasach nie było, nie umiesz, rączki masz, Wikusia.

Michalina Rok

MOJE MAŁE ABSURDY

Linia 2 ważna sprawa,
wiezie uczniów co dzień z rana,
lecz absurdem jest maleńkim
wielkość busa niczym pchełki,
co dzień młodzież zastrachana
myśli – wsiądę dzisiaj z rana?
Lecz niestety nie tym razem,
znów po transport dzwonię gazem.
Mama pędzi na sygnale
zawieźć córę pędem, gazem,
na co transport jest publiczny
gdy brakuje miejsc dla wszystkich?

Już kolejny problem mamy,
bo zakupy zrobić trzeba.
Znowu w biedrze masło dali,
znowu szybko pędzić trzeba.
Jest poranek, pusty parking,
myślę sobie dobrze jest,
lecz niestety nie tym razem,
bo znów pusty cały sklep.
Ooo promocja owszem była,
lecz nie dla mnie jasna rzecz,
jeden cały karton dali
dla mieszkańców w liczbie 5.
Już nie wspomnę o dniach wolnych,
Polak wszakże głodny jest.
Nic nie kupisz przed dniem wolnym,
jeśli nie pospieszysz się.

Wf w szkole jest potrzebny,
aby uczeń zdrowy był,
lecz kontuzje się zdarzają i w tym
cały mamy dil.
NFZ to nasz zbawiciel,
jednak problem mały w tym,
aby swe ratować życie
czekać musisz ze 100 dni.

Rodzic z głowy włosy rwie,
bo na SOR ma udać się,
tam poczeka jasna sprawa
często gęsto aż do rana.
A na drugi dzień po przejściach
znów gehenna nie do przejścia,
u lekarza nic nie działa,
brak rentgena znów do rana.
100 pacjentów oczekuje
na poradę i ratunek,
znów gips będzie założony,
czy potrzeba czy też nie,
bo na wynik z badań nogi
nigdy nie doczekasz się.

Paradoksem jest w tym wszystkim
brak rozumu w życiu wszystkich.
Bowiem każdy w życiu wie,
jak odżywiać trzeba się,
nie pić, palić, ćpać i wdychać,
tylko zdrowo się napychać,
marcheweczki, mięsko, jaja
to jest dieta doskonała.
Bez używek da się żyć,
pamiętajcie o tym wszyscy.
Młodzi mądrzy, młodzi głupi,
by pewnego dnia o świecie
nie zapukać do kostuchy.
Na tym kończę swe wywody,
paradoksy, farmazony
na tym świecie tak już jest.
że nic tutaj pewne nie jest.

WYRÓŻNIENIA

Michalina Czarnula, Zespół Szkolno-Przedszkolny w Rudziczce) – za stand-up
*** (*Poniedziałkowy poranek...*),

Marta Drozdowska, VI Liceum Ogólnokształcące im. Jana Długosza
w Katowicach – za esej/felieton *Epidemia później*,

Lena Wędzicha, Zespół Ogólnokształcących Szkół Społecznych STO
im. Stanisława Konarskiego w Katowicach – za stand-up *Jeden dzień z moją
rodziną*,

Michalina Czarnula

* * *

Poniedziałkowy poranek... Znowu trzeba wstać o 6.45 i iść do szkoły. Dlaczego szkoła nie może zaczynać się o 12.00, a kończyć o 12.30? Gdy zwlekłam z łóżka jedną kaprawą nogę, uświadomiłam sobie, że zaczynamy lekcje matematyką. Kto wymyślił w ogóle matematykę? Kto normalny idzie ulicą i myśli o procentach? W którym momencie życia przyda mi się znajomość figur przestrzennych? Czy kierując autem, będę obliczać wyrażenia algebraiczne?

Po skończonych lekcjach wyjrzałam przed okno. Na dworze padał deszcz, a ja przypomniałam sobie, że zapomniałam parasola. Tuż przede mną znajdowała się wielka kałuża. W mojej głowie odezwał się głos pani z matematyki: „Ile litrów wody znajduje się w kałuży o średnicy 120 cm i głębokości 50 cm?”. Mhm, to szalenie zajmujące... Zadzwoiłam do taty, ale po dwudziestu trzech sygnałach okazało się, że nie odbiera i muszę iść pieszo. Gdy dotarłam do domu, cała moja powierzchnia mierzona na pewno w metrach kwadratowych była pokryta wodą.

Miałam nadzieję, że w lodówce znajdę pyszne spaghetti. Tymczasem w garnku były tylko ziemniaki. Dlaczego podstawą polskiej kuchni są ziemniaki? Zjadłam dwie łyżki tego sprowadzonego z Włoch warzywa i zaczęłam rozmyślać: „Ile gramów ziemniaków przypada na jedną osobę, jeżeli obrano 49 ziemniaków, 5 osób je konsumowało, a przeciętna bulwa waży 40 gramów”. Poszłam odrobić zadanie domowe. „Z czego?” – zapytacie. Oczywiście z matematyki. Auto osiąga prędkość 80 km na godzinę, ile przejedzie w 10 minut... Po co mam to wiedzieć? Nie interesuje mnie to. Zrobiłam zadanie i od razu jechałam na angielski autem rozpędzonym do... 20 km na godzinę, ponieważ były korki.

Na angielskim korepetytor zapytał mnie o „my favourite school subject” i żeby przypomnieć mi o mojej szkolnej traumie rzucił od niechcienia: – „I love maths”.

Po powrocie do domu rzuciłam się na łóżko. Nie mogłam jednak zasnąć.
– Licz barany – usłyszałam radę od braciszka mijającego mój pokój.

Marta Drozdowska

EPIDEMIA PÓŹNIEJ

„Później”, na pewno znacie to niezwykle charakterne słowo, które nieraz odebrało mi już resztki energii życiowej. Pewnie nie tylko ja je dobrze znam. Jestem pewna, że każdy z nas w swoim życiu powtarzał je sobie cicho w swojej głowie lub stał się ofiarą tego, kto wypowiadał je na głos. Słowo to zakłada, iż coś ma się wydarzyć w niedalekiej przyszłości, a rzecz jasna najczęściej w tej przyszłości zostaje i już nigdy z niej nie wychodzi. Właśnie wtedy kiedy je wypowiadamy, celowo przenosimy coś do przyszłości, choć w większości przypadków moglibyśmy zrobić to w tym momencie. Robimy coś, co jest totalnie bezsensowne. Pomyśl, jakie życie byłoby piękne, gdybyś wymazał to słowo ze swojego życia albo przynajmniej ograniczył do rzeczy naprawdę pilnych.

Wyobraź sobie, że w pewien poniedziałek masz niezwykle wenę i wpadłeś na pomysł napisania opowiadania. Jest to świetny moment, ponieważ akurat tego dnia twoich domowników nie ma w domu. Masz więc ciszę i spokój. Nikt nie włącza głośno muzyki, nie wali w twoje drzwi od pokoju w celu znalezienia ładowarki do telefonu, nie słyszysz narzekań na to i na tamto. To jest twój dzień, możesz robić, co ci się żywnie podoba. Ale nie, przypomniało ci się, że właśnie w ten dzień leci nowe show Dody! Nie możesz tego przegapić! Włączasz więc telewizor i zamiast spełniać własne marzenia, oglądasz jak robią to inni. Zamiast pisać opowiadanie, upewniasz się w przekonaniu, że napiszesz je później, kiedy show się skończy, jednak kiedy się skończyło jesteś już tak zmęczony, że zasypiasz na kanapie, bo nie masz siły wstać i iść do sypialni.

Pewnego dnia poznajesz naprawdę sympatyczną osobę na swoim urlopie w górach. Jesteście zakwaterowani w tym samym hotelu, więc mieliście okazję dość dobrze siebie poznać. Na dodatek dowiadujesz się, że mieszka ona bardzo blisko miasta, w którym na co dzień mieszkasz. Macie wiele wspólnych zainteresowań, patrzycie na świat w podobny sposób, wasze charaktery są do siebie zbliżone. W ostatni dzień twojego dwutygodniowego urlopu wymieniasz się z tą osobą numerem telefonu z pewnością, że się zgadacie prawie od razu po powrocie do własnych mieszkań. Jednak gdy wróciłeś do domu, stwierdziłeś że jesteś zmęczony po podróży i skontaktujesz się z tą osobą jutro. Następnie całą godzinę bezproduktywnie przeglądasz media społecznościowe. Następnego dnia

stwierdzasz, że jeśli ta osoba się do ciebie nie odzywa, na pewno ma ważniejsze rzeczy na głowie, a ty przecież nie chcesz zabierać jej własnego czasu! W kolejne dni jak mantrę powtarzasz: „później, później, później”. Wciąż nic się nie dzieje, ani ty nie piszesz do tej osoby, ani ona do ciebie. Myślisz, że ona nie ma czasu dla ciebie albo zapomniała o tobie. Nie! Ona też uległa epidemii słowa „później”.

Proszę, nie ulegajmy tej epidemii! Nasze życie toczy się teraz, nie później. To co będzie później, jeszcze nie istnieje, więc nasze przewidzenia możemy wyrzucić do śmieci! Kreujmy więc rzeczywistość tu i teraz, bo tylko to zadecyduje o naszym „później”. Jestem z siebie dumna, że tym razem się jej nie poddałam i dzielnie napisałam ten tekst, zamiast obejrzenia nowego filmiku na YouTube.

Lena Wędzicha

JEDEN DZIEŃ Z MOJĄ RODZINĄ

Cześć, mam na imię Lena i postaram się opowiedzieć wam dzisiaj o moim małym dramacie życiowym w adekwatny sposób.

Mój poranek, jak przystało na poranek w każdej „normalnej polskiej rodzinie”, wygląda jak walka o przetrwanie. O godzinie 6.30 schodzę po schodach do salonu i co widzę? Dżunglę. Oczywistym celem każdego z jej mieszkańców jest zdobycie pożywienia, dlatego cichutko, na paluszkach, przedostaję się do kuchni i zgarniam pierwsze przygotowane przez mamę kanapki. Potem równie cicho jak przed chwilą idę do przedpokoju. I kiedy już mam założone buty i kieruję się do wyjścia, nagle atakuje mnie Maminus-Terorus. To najbardziej niebezpieczny gatunek w domowym buszu. Zadaje on tysiąc pytań na sekundę, więc na odpowiedź masz... No właśnie.

– Leno, czy na pewno masz wszystko, aby WŁAŚCIWIE przeżyć ten dzień? – Gdy czas minie, a Maminus nie usłyszy odpowiedzi, z prędkością światła wdziera się do twojego pokoju. Zaczyna penetrować go w poszukiwaniu jakiegokolwiek dowodu na to, że nie jesteś dobrze przygotowana na kolejny (taki sam jak inne przecież, mamom!!!) dzień w szkole. Gdy jednak zwierz nie znajdzie w twoim pokoju niczego podejrzanego, teoretycznie możesz spokojnie udać się w drogę do szkoły. Ale, zaraz, zaraz... czy aby na pewno? Królikusydzikusy! Krwiożercze bestie! Z nimi trzeba uważać... mogą odgryźć palce! Ale raz, dwa, trzy i uff... Gotowe. A teraz biegiem na autobus. Jeśli jakimś cudem na niego zdążę, szybko docieram do szkoły.

A w mojej szkole CUDA NA KIJU! Rzucanie: ławkami, nożyczkami, długopisami, papierowymi samolocikami, kolegami... Ale można do tego przywyknąć. A, no i jest jeszcze nasz ukochany pan z wiertarką, który za każdym razem, gdy zaczyna się lekcja, włącza swój cudowny sprzęt i wierci co

popadnie. Czasami mam wrażenie, że robi to specjalnie, żeby nam przeszkodzić... Choć nie bardzo wiem tak naprawdę, w czym (nuda goni nudę!) i dlaczego miałby to robić... No nic, idziemy dalej.

Po udanym powrocie do mojej dżungli i po okiełznaniu dwóch szczęśliwych Piesogrów, siadam na kanapie i oczekuję, aż męska część rodziny, czyli tata i mój brat Antek, wróci do domu. Kiedy to się już stanie jako idealna starsza siostra zaciągam Kaszydło (Antka) do stolika, aby „pomóc” mi z zadaniem domowym. Moja „pomoc” niewiele różni się od „pomocy” taty, kiedy to w pierwszej klasie próbował odrabiać ze mną zadanie domowe z matematyki... Kto ma wiedzieć, ten wie. Potem robię jeszcze jakieś rzeczy bliżej niekreślone, np. biję brata (i to on zawsze zaczyna), fikołki na chodniku itp. I wtedy nastaje godzina 19.00, która w mojej rodzinie oznacza tylko jedno: w domu ma być cicho jak makiem zasiał, bo inaczej wydziedziczenie lub zesłanie do swojego pokoju – zależy jaki rodzice akurat mają humor. 19.00 to jest w dżungli święta godzina! lecą „Fakty”.

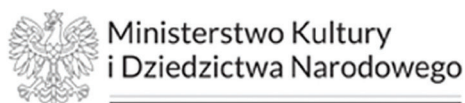
Późnym wieczorem, już po kąpieli, stado gromadzi się, aby wspólnie pooglądać „Rodzinkę.pl”. Tylko ona jeszcze przynosi pocieszenie, że może nie jesteśmy aż tak dziwną rodziną, jak nam się czasem wydaje. Tak czy owak, jaka by ta familia nie była, nie zamieniłabym jej na żadną inną. Dziękuję.

Redakcja i korekta: Renata Chudecka
Koordynatorka projektu: Anna Nowak
Wydawca: Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum
ul. św. Jana 10, 40-012 Katowice
tel. 32 253 82 21
www.ateneumteatr.pl
fb/ateneumkatowice

PUBLIKACJA NA LICENCJI CREATIVE COMMONS: UZNANIE AUTORSTWA – NA TYCH SAMYCH WARUNKACH 3.0 POLSKA (BY-SA), (<http://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl/legalcode>)



Konkurs stanowił element projektu (NIE)ZWYKŁE HEHESZKI, który dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Narodowego Centrum Kultury: Kultura-Interwencje. Edycja 2023.



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Narodowego Centrum Kultury: Kultura – Interwencje. Edycja 2023